



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

NIC TRADYCJI.

Entuzjastka żona.

Entuzjastka żona musi być żoną dobrą. Inaczej entuzjastką-by nie była: nie stałaby silnie przy idei obowiązku, nie miałaby zapалу cnoty. Żmichowska, pisząc o Entuzjastkach swego czasu, tak się o nich względnie do tego stosunku ich życia wyraża: „Wszystkie rozumne, uczciwe, wykształcone kobiety, wszystkie już za kardynalną prawdę uznawały, że tylko miłość może kojarzyć małżeństwo“. Czy przecieć będzie to miłość, lub przywiązanie tylko, przyjaźń i szacunek, które małżeństwo wiąże, w każdym razie i we wszelkich wypadkach to już jest rzeczą z natury swej konieczną, że entuzjastka chce być i jest żoną dobrą, a tylko to charakterystyczną jej cechą być może: jak obowiązki dobrej żony pojmuje i na czym je zasadza, jak daleko rozciąga? Wszyscy to wiedzą, że dobra żona powinna być dla mężowskiego życia uszczęśliwieniem: w pracy współniczką, w trudnościach pomocą, w trosce pociechą, a zawsze przyjaciółką, towarzyszką: uczuciem co obok czuwa, myślą, która nigdy na stronę nie odbiega, takim wreszcie obu tych rzeczy zespoleniem, które się słowami Salomona wyraża: „Mój, jest mój, a ja jestem jego...“ Przecieć w tem to uznaniu się żony za własność męża, a wzięciu jego na własność swoją, leży właśnie granica, która entuzjastki od wielu kochających i niekochających żon dzieli. Entuzjastka egoistką być nie może, więc też i egoistycznie nie: ani męża, ani dzieci i rodziny nie ukocha, na mocy egoistycznej miłości sobie jedynie i całkowicie nie zabiera i sama na obowiązku zasadę życia oparłszy,

obowiązki męża uznać musi, a nawet więcej jeszcze: do ich pełnienia jest mu dobrą i szlachetną pomocą. Stuart Mill uważa to za jedną ze składowych części miłości kobiecej, że pragnie ukochanego przy obowiązku: przy uczciwości i cnocie zachować, ale niestety! tylko w rzeczach gatunku niższego. W cnotach wyższych, heroicznej natury: w poświęceniu dla zasady, dla ideału wysokiego: ojczyzny, ludzkości, nauki, nazywa kobietę „kulą u nogi męskiej“ tym ciężarem, który na dół ściga, w górę nie puszcza, lot szlachetnych porwów tamuje. Widzi on w tem brak wyższego umysłowego rozwoju i pisze, że jeżeli, naprzykład nikt tak robotnika od pijaństwa i w ogóle męża od złych obyczajów, od moralnych nieporządków, jak żona nieodciąga, jeżeli go nikt jak żona do pracowitości w jego zawodzie, do gospodarności, oszczędności, zabiegliwości o jutro wpływem swoim nie nakłania i nakłaniać nie umie, to dlatego, że wiecznie w nizkiem, ciasnem kółku wyobrażeń krążąca, te tylko cnoty rozumieć jest w możliwości, tych tylko cnót dla męża pragnie i czyni je warunkiem swej dla niego miłości. Czy przecieć Mill nie myli się w tej dedukcji swojej, w tem wniosków wyciąganiu,—czy tu nie działa głównie taki uczucia egoizm, przez który żona uważając męża za wyłącznie należącego do siebie, tych tylko cnót od niego żąda, które go przy niej i rodzinie trzymają, dla niej i rodziny zachowają, jej i rodzinie poświęcać się każą i do tych celów, do tych użytków moralną stronę ducha jego ograniczając,—a dalej, wyżej już kobieta męża puszczać nie chce? Że bardzo wiele wpływa na to brak oświeconej myśli, która dalsze życia widnokreśli różnia i ukazuje, jest rzeczą pewną; ale umysł to jeszcze w istocie ludzkiej nie wszystko i szczególnie w klassach wyższych ta ciasność w miłosnem uczuciu żony, ta ciasnota w pojęciu obowiązków i cnót męża nie tylko z niedostateczności umysłowego wykształcenia wpływa.

Otóż entuzjastka nad tę małość czy serca, czy umysłu podniesiona, wie, że mąż obok miłości dla niej i rodziny, ma i mieć powinien ukochanie inne jeszcze, i bez zejścia do nicości nie może przed sobą zamknąć rozległego pola obowiązków, między którymi są wyższe od tych, które jej przy ołtarzu przysięgał. Cnota ludzkości i wypływająca zeń miłość bliźniego, uczciwość w dochowywaniu zobowiązań, wdzięczność za odebrane dobrodziejstwa, a nakoniec uczucia patryotyczne, wielki i święty obowiązek obywatela: to wszystko są zobowiązania człowieka, których się dla rodziny wyrzec nie może, wyrzec nie powinien, i entuzjastka żona nie tylko nie usiłuje go od nich odciągać, ale, przeciwnie, czuwa, aby się w nich nie opuścił, aby zawsze i na każdym stanowisku dosięgał sercem i głową tej miary, która wysokość uczciwego, dostojnie zacnego człowieka oznacza.

Więc żona entuzjastka nie oplata tak ani męża ani siebie jedwabnymi włókienkami miłości swojej, aby w niej zasklepieni dla siebie tylko żyli, więc i sama rodzinnych węzłów nie zrywa i męża do zerwania ich z rodziną swą nie pociąga, przyjaciół jego dawnych szanuje, znaczenie towarzystwa, wymianę myśli w rozwoju umysłowego życia rozumie i ztąd dom swój tak urządza, aby mąż mógł to w nim znaleźć. Nie pragnąc, aby stosunki towarzyskie były wystawą jej zbytków i elegancji, próżności i pychy zadowoleniem, uczynić to może, nie ruinując się jednak na to, materialnej i moralnej równowagi życia rodzinnego nie naruszając. Gertruda szyllerowska, kądziel przedząc i tylko słuchając tego, co „mężowie poważni“ z ojcem jej radzili, co o starych pergaminach i prawach narodu mówili tak za pośrednictwem tych słów, do serca i umysłu branych, w najszlachetniejszym kierunku ducha się wykształca, że dociega najpiękniejszego wzoru kobiecości, jaki tylko poeta mógł wymarzyć, wyrasta na najdoskonalszą, jaka istnieć może: postać żony obywatelki. Lecz entuzjastka dni naszych, to już starsza siostra tam-

tej: ona nie tylko słuchać może, ale i do rady „mężów poważnych“ przy ich boku siadać, i głos kobiety do chóru głosów męskich mieszać, myśl swoją w zetknięciu z ich myślą oświecać, iskry ich uczuć iskry swego uczucia zapalać i żyć z mężem swoim w szlachetnej duchowych bogactw wspólności, umysłem rozświeconym z umysłem jego obcować, a co w następstwie za tem idzie, obowiązki i pracę jego mężką rozumieć, należycie ją cenić i nie tylko z punktu jej praktycznych pożytków szacować.

Więc tedy żony entuzjastki jest to znakiem, że małżeńskiego swego szczęścia, zasług męża rodzinnych i jego dla siebie miłości, ilością jego zarobku nie mierzy, że zatem ręk nie łamie, łzami się nie zalewa, smutnie posępną twarzą pogody domowego życia nie miesza, gdy mąż dla celów uczciwych, lub serca swego potrzeb szlachetnych grosz jakiś jej i rodzinie odejmuje, dla dostojności swej moralnej najzyskowniejszej posady się nie chwytą, albo posiadana na mniej zyskową zamiem. Żona entuzjastka raczej pilnuje, aby było tak, a nie inaczej, lęka się, aby miłość dla niej i rodziny nie stała się w tym kierunku mężowi pokusą, i ztąd nie zgrzeszy nigdy płochą, nieogłędnością w wydatkach, z owoców mężowskiej pracy czynionych, nigdy mu nie okaże, że zbytek, materyalny dobrobyt i zadowolenie lichy próżności: to jej szczęścia podstawy, to w jej oczach jego miłości dowody. Więc też, nie tylko inne, wyższego ducha przymioty od tego ją bronią, ale miłosnego jej uczucia jest to sprawą, że żona entuzjastka, ani strojnicą, ani zbytnią nigdy nie będzie i ludzkim oczom skromnie się przedstawiając, z wystawności chluby nie szuka, gałganków za skarby nie uważa.

Żona entuzjastka nigdy też nie jest kokietką, przez sztukę zalotności powabną czynić się nie chce, towarzysko miłą w ten sposób być nie pragnie i tego za chlubę sobie wcale nie poczytuje, aby o jej salonowych podbojach mówiono. Gra to, z jednej strony wysoce niebezpieczna, która już niejednę, o! niejednę, na manowce błędu i nieszczęścia powiodła, obciążała winą przeciw własnym obowiązkom, jeżeli nie złamanym, to zaniedbanym i obowiązkom innych obraża kamień na drodze życia położyła. Zalotna nigdy nie wie, kogo za serce zaczepić, a drugostronnie komu przez to krzywdę wyrządzić, boleść sprawić może; entuzjastka żadna nigdy się też błędu tego rodzaju nie dopuści, najpierw dlatego, że z każdym uczuciem serca ludzkiego, jak ze świętością się obchodzi i marnowanie go, za świętokradztwo uważa, powtóre z tej przyczyny że jest za wyniosłą, za dumną, za szlachetną na tego rodzaju zabawę. Smiles w swej książce *O obowiązkach*, uważa zalotną wabność kobiet za objaw czegoś, co jest jakgdyby instynktem kobiety niższego gatunku, nie występującym nigdy u kobiet podnioslejszej natury i uważa, że zalotność w miarę wyższości duchowej, uczuciowości prawdziwej w kobiecie zanika. Entuzjastka też, która koniecznie już w sobie coś wyższości mieć musi, która musi być sercem gorąca, ani bezwiednej, ani świadomej siebie kokieteryi nie ma i mieć nie chce.

Trzeba ją kochać za jej inne, godniejsze ducha przymioty: za jej myśl szlachetnego polotu, za jej serce do poświęceń miłości zdolne. Tak serce oddać może tylko mężczyzna dostojnej natury, że przecież ona sama innego ukochać-by nie mogła, więc się na to spokojnie godzi, a szczególnie, gdy raz już żoną zostanie, tem mniej oddaje się pogoni za zdobyczami lekkiego kalibru i ztąd ten jeszcze ważny przymiot jej przybywa, że myśl jej i zajęcie na strony nie odbiega, mężowi i rodzinie się nie odejmuje, na ośrodkowe działanie sił serca i umysłu nie zużywa. Są kobiety żywe i bystre, które się zdają wszystkiemu zadosyć czynić; ale pozory to tylko, bo nikt w dwóch miejscach razem być nie może, żadne źródło ludzkich zasobów niewyczerpanem nie jest i najbogatszy, co jednemu nadda, to drugiemu ująć musi. Entuzjastka też, choć może od innych w zdolności dostatniejsza, przez sumiennosc samą rachunek bardzo ścisły ze sobą, z sercem swoim prowadzi, aby na żadnym punkcie zadłużoną, niewypłacalną się nie okazała i pod tym nawet względem ze sobą się liczy, czy macierzyńskie uczucie w uczuciu żony jej nie

okrada? U wielu kobiet, nawet bardzo dobrych, nierzadko tak bywa, że w miłości dziecka niemal całkowicie toną, mężowi tylko już resztę uczucia serdecznego oddając. Czy i tu nie jest to coś egoizmu: miłości ja swojego, przeszczepionej w ukochanie najbliższej nam, najwięcej od nas zależnej i do czasu nam najzupełniej oddanej istoty? Kobieta w małżeństwie nieszczęśliwą można jeszcze zrozumieć i wytłumaczyć, skoro tak sercem rozrządza, ale nigdy tej, która, będąc kochaną, tak się miłości męża na korzyść dziecka odejmuje. Jest to niesprawiedliwość, jest to nawet niesumienność. Mąż ją sobie na szczęście życia z pomiędzy wszystkich kobiet świata całego wybrał, nad wszystkie światła całego kobiety przeniósł, a ona go teraz na póły odstępuje, gdy cel inny dla miłości swej znalazła.

(Dokończenie nastąpi)

DO SMUTNEJ

(Ludwika Méyé'a, przekład z francuskiego).

Sztuczna wesołość nie zdoła mnie złudzić:
Bolesnych wzruszeń pełne serce twoje.
Co je przychodzi w piersi twojej budzić,
Życie przez trwożne mącić niepokoje?
Gdzie filozofia twoja? Wiem ja przecie,
Co to za troska zachmurza ci czoło:
Myśl twa w żaloby zablakana świecie,
W grobowe jakieś zamknęła się koło.
O piękna! odpędź daleko od siebie
Obrazów śmierci posępne odbicie;
Co tobie przyszłość? Bóg, który jest w Niebie,
Losami rządzi, a nam daje—życie!
Tutaj dla ciebie bliźnie serca biją,
Chwila obecna słodko ci się śmieje,
Z tej dobrej czary niechaj usta piją,
Niechaj spłoszone nie pierzchną nadzieje....
Wszak ty to czujesz, wiesz niemniej odemnie,
Co szczęścia może objąć ludzkie życie,
Kiedy miłością związane wzajemnie,
Dwa serca wzrusza jednej miary bicie.
Najśłodszy węzeł już dusze jednoczy,
Ziemia się staje jak szyn gładka droga;
Zanim wóz-życie, co się po niej toczy,
Stanie na drugim brzegu, gdzieś u Boga;
Podróż wesoła, szybka jest i cicha,
A siła uczuć—to moc, co popycha....

M. I.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Uśmiechnął się pod wąsem Wolski. Zaborska mu jeszcze raz rękę podała. Wstał tedy.

— Pilnujcie lepiej córki — rzekł — z oka jej spuszczać nie można. Filut dziewczyna, jak się okazuje, a Butrym ptaszek, którego pustym strzałem nie odstraszyś — jemu tylko kula w serce poradzi. Póki żyw, póty my pokoju mieć nie będziemy.

Z tem Wolski pociągnął do księcia. Do charakterystyki człowieka należy dodać, że niedarmo

przed Zaborską wspominał, iż wie, kedy dobrą zastawę napyta.

Był naówczas chorąży z bratem, księciem hetmanem „Rybenko“, jeżeli nie w otwartej waśni, to na zimno. Obaj o siebie i znaczenie swe byli zazdrośni. Chorąży lepiej na dworze u króla i u Brühla stał, i na niego się więcej oglądano, niż na hetmana. Tak mu się zdawało.

Pomiędzy Nieświeżem a Białą, były jakieś napeżone stosunki; nieufnie spoglądano na siebie; komunikacye były nie częste. Obawiał się książę hetman, aby bezdzietny chorąży komu innemu Białej nie przekazał z rodziny, albo dóbr nie alienował w jakikolwiek sposób. Potrzebował więc, na miejscu, u boku chorążego, mieć kogós, aby mu donosił o tem, co się tu działo. Gdy razem ostatnim byli obaj w Warszawie, następczo księciu hetmanowi Wolskiego, jako faworyta, wszystko-wiedzącego i najzręczniejszego człowieka, którego-by mógł sobie tajemnie pozyskać, aby mu donosił, co się w Białej działo.

Sam książę ani myślał się z takim wdawać człowiekiem lichy ekstrakcyi; ale ze dworu posłał zaufanego, który, znajomość zabrawszy z Wolskim, potrafił się z nim ułożyć i zapewnić mu łaskę księcia hetmana, jeśliby mu wiernie służył. Chorąży nie był nieśmiertelnym. Wolski chciał być pewnym przyszłości. Obiecano mu sto czerwonych złotych rocznie, jeśli będzie gazetkę bezimienną do Nieświeża wysyłał o wszystkim, co się w Białej dzieje.

Szczególniej naglądać miał na to Wolski, jeśliby testament jaki pisano, aby zawczasu o nim książę hetman mógł wiedzieć. W Nieświeżu nie tajem było, że ojciec książęny chorążyny, wojewoda Czarniechowski z Zawieprzyc, zabiegał o to, aby córka zapisy miała, jakie jej się należały. Inni też, jak księżna krajczyna, starali się dla swych dzieci. Domyślano się, że ks. biskup Ptolemaidę Riokur, w którym książę miał zaufanie, do układania testamentu zostanie napewno wezwany.

Nadzór i pilne ucho Wolskiego właśnie teraz najpotrzebniejszem było, bo wojewoda Czarniechowski o zapisy naciskał, a te razem z testamentem układać się miały.

Wolski—i chorążego i biskupa na probostwie umiał różnemi sposobami szpiegować; donosił o najmniejszej rzeczy do Nieświeża, miał dowody tego, iż tam z niego byli kontenci: mógł więc ufać, że w przyszłości szczodry książę hetman, jego służbę dobrze wynagrodzi.

Niebezpieczną ona była i gdyby chorąży najmniejsze powziął o niej podejrzenie, z życiem-by nie uszedł zdrajca. Wiedział dobrze Wolski, co ważył, i nie śmiał tego, co pisał, inaczej wysyłać, tylko przez umyślnych wysłańców nieświeżkich, którzy, nie zatrzymując się w Białej, w przejeździe niby z nim się spotykali.

Chorąży nie miał tajemnic dla Wolskiego, przed którym się nawet ze swych niechęci dla brata wyznawał—a cokolwiek w chwili rozdrażnienia czasem na niego powiedział, natychmiast do Nieświeża wędrowało.

Taksamo książę biskup Riokur, który sam chrzczył niegdys Wolskiego, a dla którego on był z niezmierną pokorą i wdzięcznością—przywiązał się do niego, jako do człowieka, któremu wiele pomógł—i wierzył w jego pocziwość. Mówił z nim poufnie, jako faworytem księcia, i nie tał nic. Z tych źródeł i ze stosunków w kancelaryi, Wolski był jaknajlepiej uwiadomiony o wszystkim. A przybył ktoś taki, jak szambelan Kaszyc lub Matusiewicz do Białej, w sprawie jakiej, Wolski się zaraz do nich wkręcił, służby swe ofiarując. Że zaś przez niego dużo się, jeśli nie zrobić, to przygotować, dawało: wszyscy z Wolskim zapanbrat się rozgadawali i obeznawali go z najtajemniejszymi interesami. I szły z tego ulepione gazetki co tygodnia do Nieświeża, a nikt ani się mógł domyślać nawet tego stosunku — Wolskiego z księciem hetmanem.

Posel książęcy przybywał zwykle naznaczonego dnia, niemal o jednej godzinie, a Wolski konno wyjeżdżał na gościniec ku niemu, i niemówiąc słowa, do skórzanej torby wsuwał pismo, sam dalej ruszając. Obey ludzie nawet twarzy jego nie widywali.

Po wyjściu Wolskiego stara Zaborska potrze-

bowala czasu, nim się uspokoiła i rozrachowała, jak się z córką ma obchodzić. Rada była ją ująć, przygłaskać, chwycić za serce, zyskać sobie; lecz od czasu jak się na zamek przeniosły, córka, niegdyś dla niej czuła i przywiązana, zupełnie zmieniła postępowanie. Stała się nieufną, zimną, a niekiedy zuchwale prawie oporną.

Niczem jej przygłaskać nie było można.

Odstrychnęły się tak zupełnie od siebie, że w domu jedna na drugą nieufnie, jak na nieprzyjaciółkę, patrzyła. Czując się w duszy winną, matka gotową była dla córki do pobbazania i ustępstw, lecz Faustysia niczem się nie dawała przejednać.

Wyrwały się jej czasami z oburzeniem te straszne słowa:

— Własna matka mnie sprzedała.

Gdy w nocy list spuszczał na sznurku Faustysia, dostrzegła nadbiegającego stróża, przeleżała się bardzo i była prawie pewną, że zostanie oskarżoną, że nazajutrz badać ją będą i męczyć. Spaliwszy list po przeczytaniu, czekała tylko z silnem postanowieniem nieprzyznawania się do niczego.

— Pan Bóg mi to kłamstwo przebaczy—mówiła w duchu.

Po matce jednak zrana nie postrzegła nic, i dopiero przyjsie Wolskiego nowy niepokój obudziło.

Siadła do swoich krosien, pomodliwszy się—czekając, co ją spotka.

Przez wazki kurrytarzyk dochodziły ją głosy rozmowy matki z faworytem księcia, lecz słów dosłyszec nie mogła, a podsłuchiwanie, które matka praktykowała, miała w obrzydzeniu.

Słyszając powracającą Zaborską, nie podniosła na nią oczów córka i szyla pilno. Stara przeszła się parę razy po pokoiku; a że, gdy miała na córkę napaść—czyniła to zwykle, nie umiejac się pohamować, odrazu, uspokoiła się Faustysia.

O wczorajszym przygodzie nie musiała wiedzieć.

Nie dała po sobie znać matka, z czem przyszła; popatrzyła na córkę i odezwała się łagodnie:

— Oczy sobie psujesz. Cały boży dzień nad temi krosnami, ani się przejść, ani spocząć; nie dziw, że potem książę mówi: „mizernieje” i mnie za to łaje.

— O! radabym tak zbrzydnieć i zmizernieć, aby mi dał pokój—odpowiedziała Faustysia—dopiero-bym była szczęśliwą.

— Tak—jakbyśmy obie na barłogu znowu leżały i o razowym chlebie żyły, bo braciszek Lubiszewski, że złamanego grosza nie da, choć sam jak paczek we wszystko opływa—to pewna.

— Na kawałek chleba i dla siebie i dla matki pocziwie-bym zapracowała, nie potrzebując łaski wuja Lubiszewskiego—rzekła Faustyna.

— Albo ty wiesz, co to na chleb pracować!—zaśmiała się stara—mnie pytaj.

A tu—dodała po chwili—na niczem nie zbywa, i że książę wieczorem przyjdzie się poduczyć koło niej—to już i tego wytrzymać jej trudno—dla starej matki.

— Alboż ludzie wiedzą, co książę robi u nas?—zawołała Faustysia—i co oni myślą? co gadają? Do kościoła, gdy człowiek idzie, wstydzi się oczów podnieść, wytykają palcami—książęcą kochankę.

— Bosz głupia!—odparła Zaborska—czego się masz wstydzić? pierwszą ty czy ostatnią? Cóż to tobie, ujma z tego, że taki pan się w tobie kocha! Ale!

— A! bodajbym tego nie dożyła—zapłakała Faustyna, a Zaborska umilkła na chwilę.

— Żebym ja była wiedziała, dając cię do klasztoru na edukację—rzekła—że te kwoki z ciebie zrobią takiego koczodana, który na świecie się obrócić nie potrafi!—wolałabym była, żebyś czytać i pisać nie umiała.

— A ja całe życie im wdzięczną będę, że mnie nauczyły, nie czytać i pisać, ale jak żyć potrzeba, aby spokojnie umierać.

Zaborska ruszyła ramionami.

— A tego to cię nie nauczyły—rzekła gniewnie—że matki słuchać potrzeba? Co ja biorę na swoje sumienie, to ty nie możesz? A od czegoż jest książę? Mało to ludzie grzeszą? przecież im przebaczą! A tu—straszny mi grzech—że książę jej rękę polizę i pod brodę pogłaszcze!

Z coraz większym gniewem mówiła matka.

— Ty-bo mnie do grobu przyprowadzisz—nie-wdzięczna!

Spuściwszy głowę, szyla pilno Faustyna, już się nie odzywając.

Zaborska jeszcze jakiś czas narzekała na swój los; wreszcie, odpowiedzi nie otrzymując—wyszła.

Do wieczora w ciągłej obawie była Faustyna, aby o przygodzie nocnej indagacji nie rozpoczęto; w miarę jak dzień uchodził, strach ten się zmniejszał i, choć sobie tego wytłómaczyć nie umiała—uspokoila się.

Na wszelki wypadek, po wyjściu matki, w swoim pokoiku napisała kartkę do Damazego i, złożwszy ją, wsunęła za gors, aby była gotową. Gdy nadszedł wieczór, ostrożnie się starała wyrzucić ku wałom: czy straż tam jaka była, i postrzegła chodzące po palak człowieka, a zdało się jej, że i drugi opodal stał na czatach.

Zgasiwszy światło, nie kładła się długo, coraz do okna podchodząc a wypatrując co się ze stróżami działo. Obaj oni chodzili, stawali i nie opuszczali stanowiska.

Zmiarkowała, że Damazy po wczorajszym wypadku tak prędko znowu się ukazać nie mógł, ale tak w niego, jego mężtwo i przebiegłość ufała, że nieco później—zdawało się jej możliwem podkrańnięcie się pod okno. Jak?—nie wiedziała—ale on mógł znaleźć na to sposób.

Tymczasem Wolski, znicierniwiiony tem, iż mu się pochwyć Butryma nie udawało, nieufając ani Łobodzie, ani innym użytym do szpiegowania go, wpadł na myśl użycia na ten cel największego łotra, jakiego lochy pod zamkiem od roku w sobie mieściły.

Był to sławny zbój i złodziej, Sępikiem zwany, który dawniej na granicy węgierskiej z innymi opryszkami dokazywał, potem w lasach pod Warszawą rozbijał; ścigany nareszcie, zbiegł do paszczy nadbużnych, a tu go istnym trafem radiwilewscy leśnicy, śpiącego w chacie, pochwyli. Sępik ten i na podróznym po gościńcach napadał, i na karczmie samotne i na dwory. Odważnym był aż do zapamiętałości, dawniej jak zubr silnym; ale że go dwa razy na męki brano, aby wydał gdzie miał skarby swoje, i stawu mu powyciągano, stracił przez to moc, i przebiegłość mu tylko została. Słyszał on z tego, że się przebrany nieraz kręcił tam, gdzie go szukano, że wszystko, co chciał, dojść, podpatrzeć i wywahać umiał. Nie było człowieka nad niego, do cierpliwego, długiego, śledzenia każdego tropu. Wolski, jako złamane-go mękami i więzieniem, nie uważał go już za niebezpiecznego, do lasu mu znowu zbiedz było trudno. Gdyby mu przebaczone, mógł dobrze usłużyć.

Wprawdzie książę, gdy go schwytano, poprzyściągł, że zdechnie i zgnije w więzieniu, i trzymano go o chlebie i wodzie w najgorszej kaźni; ale chorążemu Wolski mógł wmówić co chciał, a Sępik mu był teraz potrzebnym.

Naprzód jednak chciał z nim się rozmówić Wolski—i z południa klucznika wziął, aby go po więzieniach prowadził. Nie było w tem nic nadzwyczajnego, gdyż nadzór nad nimi do niego należał, i każdego tygodnia, conajmniej raz Wolski musiał obejść wszystkie lochy, całe zamkowe podziemia, aby księciu donieść, co się tam w nich działo.

Znaczniejsza część zamku była na sklepionych tych dawnych izbach zbudowaną, przeznaczonych odrazu na więzienia i składy. Pod bramą i wieżą, pod skrzydłami, nawet pod samym korpusem zamku, znajdowały się piwnice, lochy win i izby więzienne. Z tych jedne okna u góry i trochę światła miały, inne były całkiem ciemne, zaduszone i dla tych przeznaczone, którzy już na świat wyjść nie mieli. Nigdy te podziemia tak, jak za chorążego, przepełnione nie były. Siedzieli w nich i tacy, których winy ludzie nie pamiętali, którzy, ledwie żywi, dogorywali bez przytomności, nie mając siły podnieść się ze zgniłej garści słomy, na której leżeli.

Im dłużej tu kto przesiedział, tem mniej mógł mieć nadziei oswobodzenia. Nie było prawie przykładu, aby surowy aż do okrucieństwa chorąży, kogokolwiek uwolnić kazał. Nieraz, tak, jak za Lotaryńczykiem, wstawiali się do niego możni panowie, prosiły kobiety: naówczas zaczynał się uparciej jeszcze i los więźnia tylko się tem pogorszał.

Trzeba było, jak klucznicy i Wolski obeznani-mi być z temi kurrytarzami ciemnymi, wschodkami wiodącemi do drugiej kondygnacji, przejściami i sztykami wazkami, aby się tu pokierować—i nie zbłądzić; trzeba też było, jak oni, mieć zahartowane serce, by przejść te lochy, nie doznawszy boleści okrutnej.

Wśród tej ciszy—zpoza drzwi slychać było to brzęk kajdan, to jęki i złorzeczenia, to głosy, na które w języku nazwy niema.

Dziwne to, ale prawdziwe jest zjawisko, że oprawcy i kaci, zmuszeni słuchać krzyków i paterzeć na męczarnie, zamiast czuć litość, wpadają w rodzaj wściekłości i mordują z większą jeszcze zaciętością.

Uczucie to, jakiegoś szału i rozdrażnienia opnowywało Wolskiego, ile razy wchodził do więzień, a chód jego, budząc z odrętwienia zamkniętych w nich, wywoływał narzekania i jęki. Była to katowska dusza, bo i uparte milczenie zarówno go niecierpliwiło i złościło—i stękanie a narzekania. Ile razy tu wchodził, doznawał jakiegoś pragnienia do znęcania się, do męczenia i z tem uczuciem rozgorączkowany ztąd wychodził.

Tymrazem jednak tak był zajęty Sępikiem, że na odgłosy, dochodzące go od komór zajętych, nie zważał. Siedzieli tam i tacy zrozpaczeni, którzy, posłyszawszy kroki, głos podnosili, wołali i hałasowali, chcąc się przypomnieć, bo sądzili, że o nich zapomniano.

Do lochu, w którym siedział Sępik, isć było potrzeba długo, znajdował się bowiem pod głównym korpusem w drugiej kondygnacji. Sępik był przeznaczony wyrokiem chorążego, na który zresztą zasłużył, aby tam zdechł i zgnił. Więzienie też jakby na ten cel było stworzone. Z blizkiego stępu podchodziła do niego woda zaskórna, mury całe były nią przesiąkłe, okryte pleśnią i grzybami. Gniła słoma, którą tu rzadko odmieniano, padała się odzież, ranami okrywało ciało.

Ale człowiek rzucony w tę studnię, której powietrze dusiło przychodzącego, miał żelazną naturę stworzeń zahartowanych, które wszystko znośić mogą.

Gdy klucznik, otworzywszy drzwi, podszedł przodem z latarką i podniósł ją do góry, Wolskiemu przedstawił się obraz, który mógł jego okrucieństwo nasycić. Sępik, średniego wzrostu człek, grubych kości, stary już, z posiwiałą głową i brodą, w której rudych włosów pasma widać było jeszcze—leżał na szerniałej i starej słomie, otulony podartą w łachmany siermięgą; bosych nóg i rąk części widoczne pokryte miały całe gestym włosem, który ciało może bronił od ran. Twarz okrągła, blada, zsiniała, z oczyma mocno wystającymi, nosem spłaszczonym i szerokimi ustami, miała wyraz dziki, ale przytępiiony męczarnią. Obojętnie patrzył i zdawał się w początku nierozumieć, czego od niego chcieli przybyli. Wodził oczyma po stróżu i Wolskim, jak zwierzę schwytane w jamie.

— A co? dobrze ci?—rzekł do niego Wolski, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Nie ruszał się nawet z miejsca Sępik. Klucznik go nadaremnie nogą potrącił. Zbliżył się mimo odrazy Wolski ku niemu.

— Książę cię na śmierć tu gnił, dekretował—rzekł—ale jabyłm potrafił może wydostać cię ztąd, gdybys zamiast rozbijać, chciał panu służyć wier-nie.

Sępik zdawał się wyrazić te rozumieć, zatrząsł się i rękami pokazał na nogi ze stawów powyciągane i bezsilne.

— Mów-że—mruknął klucznik.

— Zapomniałem mówić—schryplym głosem wykrztusił więzień.

Wolski pilno mu się przypatrywał, jakby chciał dojść: czy co z niego być może?

— No cóż?—spytał Wolski—chciałbys księciu służyć?

Usta Sępika się skrzywiły.

— Na co ja komu zdam się!—zamruczał.

— To już nie twoja rzecz, do czego-by cię użyto—mówił Wolski—ino czy wiernie służyć-byś przyrzekł?

— Wolałbym służyć choć za kata niż tu gnić—rzekł—zwolna się ożywiając Sępik.

— Utrzymaj się on na nogach?—odezwał się

Wolski do klucznika. Ten, latarkę postawiwszy na przymurku, pochylił się i, Sepika za barki wzięwszy, pomógł mu się podnieść. Nie łatwo to przyszło; chwycił się zbój stróża, który musiał całą mocą na nogach stać, aby go nie obudził. Na ostatek się dźwignął, ale zaraz o ścianę musiał się zeprzeć.

Nogi, choć nadwreżone w stawach, jeszcze go mogły utrzymać, a Wolski rachował, że, odżywiwszy go i dawszy mu spocząć, można było jeszcze przebiegłego zbója zużytkować; o jego chytrości i bystrości miał zdawna wyobrażenie może przesadzone.

Nie mówiąc do niego nic, Wolski odezwał się do stróża:

— Wziąć go na górę do jasnego lochu, dać słomy świeżej i jeść do syta — rozumiesz. W komorze, po więźniach płachty i sukmana się znajduje; czyste mu wdziak. Zobaczmy: czy odżyje za dni parę.

To powiedziawszy, wyszedł Wolski, gdyż powietrze go dusiło.

Radniera, musiał czekać, aby się przekonać, czy z tego złamanego narzędzia, na które liczył, da się coś uczynić.

We dwa dni potem przyszedł niecierpliwy do więzienia i kazał sobie otworzyć podziemie, do którego Sepika przeniesiono. Różniło się ono wielce od tego, w które był naprzód wrzucony; trochę światła dawało okienko ponad ziemią, kamienny przymurek okryty słomą służył za łóżko. Próżna misa i drewniana łyżka, kawał niedojedzonego chleba, świadczyły, że go lepiej karmiono. Twardej natury człek cudownie tu się pokrzepił. Mógł już na nogach stać i wyraz twarzy rozbudzony, oczy jaśniejsze większą w nim siłę ukazywały. Wolski postrzegł to zaraz wchodząc.

— A co? — zapytał.

— Lepiej mi — rzekł zbój. — Jeszcze jaki tydzień, a będzie dobrze.

— Chcesz księciu służyć wiernie?

— Czemu nie! — kłaniając się — odparł Sepik.

Sam już ja nie dokazałbym nic; do lasu nie pójde, bo-bym tam rychło zdechł — jakby służba nie była ciężka.

Wskazał faworyt klucznikowi, aby precz szedł za drzwi i zbliżył się do Sepika.

— Ręk ja twoich nie potrzebuję — rzekł — ale głowy. W mieście się różni ludzie ukrywają, których trzeba wysledzić, odszukać, połapać. Do tego ty powinienes być zdalny.

— Abym się trochę obył tu — odparł Sepik. — Trzeba mnie puścić wolno, pójdę po ludziach, za język ja umiem ciągnąć, a byłem wiedział kogo, i z myszkiej dziury wydobęde.

— A no! pamiętaj — dodał Wolski — chcesz li być cały, a mieć chleb na starość — przysiąż służyć wiernie.

Sepik się w piersi uderzył.

Stracił on był już wszelką nadzieję widzenia świata bożego i wydobyć się na wolność, gdy ta zaświtała; gotów był na wszystko, byle go puszczono. Dał bowiem sobie na mękach powyciągać nogi i ręce ze stawów, nie zdradziwszy się, gdzie swe łupy schował. Miał je zakopane w lesie i teraz myślał, że gdy się wydobydzie z lochu, potrafi skarb swój odzyskać i z nim umknąć kędy ku Węgrom, bo tam miał dawnych znajomych i towarzyszków.

Gotów był obiecywać, co chciano, i starać się usłużyć — myśląc o zupełnym kiedyś wyzwoleniu. Nadzieja ta wlewała w niego siłę.

Wolski, przekonawszy się, że Sepik może odzyskać zdrowie i być mu użytecznym, poszedł wieczorem do księcia. Nie mógł go uwolnić bez wiedzy księcia; potrzeba było uzyskać zezwolenie.

Zaczął się więc skarżyć, że ludzi sprawnych niema, i dlatego Butryma, uwijającego się po okolicy, nie może dostać.

— Gdyby jasnie oświecony pan mi pozwolił — rzekł — jabym z tego lotra Sepika zrobił takiego charta, jakiego mnie potrzeba.

Choraży ramionami ścisnął.

— Oszalał! — zawołał.

— Nie, mości książę — niema, jak tacy ludzie, do takiej, jakiej ja potrzebuję, posługi. Złego już on

dokazać nie może nic, ale dobrego wiele, bo taki zbój zna wszystkie nory i wszystkie sposoby.

Choraży milczał, nie lubił wypuszczać na wolność, kogo raz trzymał, i dlatego może, aby potem wychodzący nie rozpowiadali, co z nimi czyniono.

Wolski poczał nastawać mocno — wspomniał o Butrymie, jaki to niebezpieczny był zuchwalec; że ująć go koniecznie należało, aby nie oblegał panny i nie pokusił się, Boże uchowaj, na porwanie jej. Sepik mu do tego był koniecznie potrzebny.

— To go weź, do kaduka! — odpowiedział naostatek choraży — ale nie inaczej, tylko, abys go potem — gdy swoje zrobisz, napowrót posadził, bom ja słowo rzekł, że on zgnieć musi, i łamać go nie będę.

Wolski przeciwko tej restrykcji nic nie miał; zgodził się na to, co książę postanowił.

Tegoż dnia z więzienia przeprowadzono Sepika, z kajdan go rozkuwszy, do mieszkań stróżów, których żywność i napój miał mu być dawany. Szło o to, aby jaknajprędzej mieć z niego pomocnika.

Pozwolił nawet Wolski, aby Sepik na miasteczko wychodził, na noc tylko do zamku powracając, aby tymczasem starał się czegoś dowiedzieć, rozpytać — rozpoznać między ludźmi. Sepik, który przed schwyceniem swem, po okolicy dokazywał, a często jako dziań przebrany, do Białej przychodził się rozsluchywać, znał miejscowość dosyć dobrze. Miał zresztą przebiegłość tych ludzi, co życie strawili na wojowaniu z pogoniami i ściganiem i łatwo się wszędzie umiał rozpatrzeć. Przyprawiono mu Łobodę do pomocy, z którego naprzód ciągnąć poczał, co mu było potrzeba. Sam on potem z nim wywłókl się do miasteczka i, po szynkach chodząc, języka szukał.

Nigdy może dawniej, gdy mu o własną skórę chodziło, nie był Sepik tak gorliwym, nie brał tak na kiel, jak teraz. Chciał się zasłużyć, obiecując sobie, że, zwolna obudziwszy zaufanie, i do lasu się będzie mógł dostać, i ludzi sobie w pomoc napytać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KILKA SŁÓW

O DZIAŁALNOŚCI NAUCZYCIELSKIEJ

Kazim. Brodzińskiego.

Publiczność polska zna dosyć dokładnie Brodzińskiego jako poetę, który stworzył wdzięczne wzory nowszej naszej sielanki; niemniej zna go, jako wielostronnego i głębokiego krytyka, którego wysokie wykształcenie estetyczne uzdalniało do przeważnego głosu w chwili tak żarliwego sporu, jaki prowadzili romantycy z klasykami — sporu, którego głuche echo, jeszcze nawet dziś nas dolatuje, gdy naturalizm i pozytywizm zbyt ochotczy sztydzi z nieromantycznego nawet idealizmu: ale mało kto dziś pomyśli o Brodzińskim jako nauczycielu. Chcemy więc tu przypomnieć jakie stanowisko pisarz ten zajmuje w historii naszej pedagogiki; nie pominiemy wprawdzie jego zapatrywania się na kwestye estetyczne i psychologiczne, bo stanowi ono ważny moment wszelkiej pracy pedagogicznej, ale uwzględnimy tę stronę działalności Brodzińskiego jedynie o tyle, o ile ona nadaje wyraźniejsze znamię nauczycielowi literatury polskiej, którego obywatelskie zasługi, tak w zwykłej szkole, jako i na katedrze uniwersyteckiej, zamierzamy przedstawić.

Postać Kazimierza z Królówki, przypominając nam i w literacie i w nauczycielu zacnego zawsze obywatela, pociągała ku sobie uwagę naszą. Pomijając dawniejsze prace literatów, oceniających dzieła Brodzińskiego, wiadomo, że w roku ubiegłym pojawiły się na tem polu dwa studia, jakoto: obszerny, z wielką gruntownością napisany artykuł p. Chmielowskiego w *Encyklopedy*

dy Wychowawczej ¹⁾ i monografia p. Waleryi Marrené ²⁾, której p. Kaszewski kilka bardzo trafnych i głębokich uwag poświęcił w *Bibliotece Warszawskiej*. ³⁾

Rozwój umysłowości naszej zależy w znacznej bardzo części od wpływu i owych pierwszych wrażeń, jakie na nas dom rodzicielski i szkoła początkowa wywierają.

Kazimierz Brodziński urodził się w r. 1791 we wsi Królówce z ojca Jacka i matki Franciszki z Radzikowskich, która go małym dzieckiem odumarała. Po stracie żony przeniósł się p. Brodziński do Lipnicy Murowanej, gdzie zajmujące nas w tej chwili dziecię spędziło pierwsze lata swej sierocej młodości. Od urodzenia słabowitego, a więc niby mniejsze budzące nadzieje, zaniedbywali go rodzice, a gdy nadto ojciec drugi raz wszedł w związki małżeńskie z Anną Fischhauzern, zła i okrutna macocha ciąglem łajaniem i częstemi razami, zupełnie go zpod rodzinnej strzechy potrafiła usunąć, tak, że biedne dziecko najwięcej od sąsiednich włóścian i obcych ludzi doznając opieki, im tylko pierwotne swe wychowanie zawdzięczało. Czy temu oddaleniu od domu, czy też szczególnej łagodności i sprężystości tej szlachetnej natury przypisać należy to, iż ciąglea niezgoda i burzliwe swary w domu nie napoiły młodzieńca żółcią, sarkazmem i mizantropią, że smutne lata dziecińne a potem ciężkie z losem walki pozwoliły na rozwinięcie się w duszy jego tej charakterystycznej i jemu właściwej prostoty, szczeroci, wyrozumiałości na błędy innych i niczem niezamąconej słodyczy. Słodycz ta, nietylko, że w życiu jego i obcowaniu ze współczesnymi wielu mu jednała przyjaciół, ale nadto przebija ona we wszystkich jego pismach, preradzając się w poezjach w tę rzewność i tkliwość prostoty pełną, która tak za serce chwyta w *Wiesławie* i technieniem prawdy ożywia całą tę sielską opowieść. Dziwiłoby się rzeczywiście należało tym objawom, gdybyśmy zkądinąd, a to mianowicie ze świadectwa samego Brodzińskiego ⁴⁾ nie wiedzieli, iż zawdzięcza on je wyłącznie właśnie ciąglemu obcowaniu z naturą i prostotą ludu wiejskiego, który w tych stronach kraju naszego nie jest ani nieokrzesanym ani szorstkim, a posiada wiele szlachetnych przymiotów, jak: gościnność, czułość na cierpienia bliźnich, przystępność na rady i napomnienia. Samo wreszcie położenie miejscowości, w której pierwsze lata życia przepędził Brodziński, przyczyniło się potrosze do rozbudzenia w jego duszy poetycznego uczucia.

Lipnica Murowana, wioska w Karpatach, miała bardzo piękne położenie. Dwór, w którym mieszkał ojciec Kazimierza, stał w pięknej dolinie, przeciętej strumieniem, który, z góry z łoskotem spadając za każdym deszczem wzbierał. Na wschodzie rozciągała się piękna łąka, na której „krynica wierzbami i różnemi krzewami obrosła, była siedliskiem ptactwa i motyli“ ⁵⁾; poza nią stał młyn wiecznie szumiący; po bokach pasma gór lasem porośłe, zamykały widnokrąg; na grzbieciech gór widać się drogi, a po nich przesuwały się ładowne wozy: wszystko to przyzwyczaiło wyobraźnię dziecka do pięknych i poetycznych wrażeń. Prawda, że natura mniej hojnie od Kazimierza uposażona, zmuszona tak, jak on, pobierać pierwsze elementarne wiadomości w pobliskiej szkółce ludowej, gdzie nietylko, że mało bardzo, i to poniemiecku, uczono, ale nadto okrutnie się z dziećmi obchodzono, byłaby tych wrażeń nie odczuła i zupełnie wśród tak niekorzystnych warunków stępieła; ale w Brodzińskim zawsze jeszcze wątle ciało ożywione było duchem niezwykle sprężystym. W małej główce chłopięcia żarzyła się pomimo wszystkiego iskra ciekawości, żądza wiedzy. To też, gdy potem oddano go do gimnazjum w Tarnowie, gdzie równie niepedagogicznie był kształcony, zaczął chciwie chwycić każdą książkę. Tak poznał Kleistę, Goethego i Wielandę, a później nabytą przypadkiem *Iliadę* w przekładzie Dmochowskiego i parę tomów pisarzów

1) Encykl. Wychow. Tom II. Zesz. 4. Warsz. 1881.

2) „Muzeum“ dwutygodnik wychodzący w Krakowie, zeszyty 1 i 15 Czerwca 1881.

3) Zeszyt Grudniowy 1881 r.

4) Ob. *Wspomnienia*.

5) Brodziński: *Wspomnienia*.

polskich, wydania Mostowskiego. W Tarnowie uczono wyłącznie języka niemieckiego, dając przytem szczupły zasób koniecznych wiadomości z literatury również niemieckiej: musiał zatem Brodziński zdobywać sam, i to poomacku, wszystkie wiadomości o dziejach języka i literaturze ojczystej. Niezmordowana pracowitość i wytrwałość sprawiły jednak, że doszedł na tem polu do znakomitych wyników, a to, że wiadomości owe zdobył sam, bez wskazówek jakiejkolwiek bądź szkoły i kierunku, miało to ten dobry skutek, iż pozostał nazawsze wolnym od wszelkich stronniczych uprzedzeń, zarówno klasycznych jak romantycznych, i przemawiał jedynie w imię własnego przekonania.

W r. 1809 wydalili się Brodziński potajemnie ze szkół w Tarnowie i wstąpił do Wojska Polskiego, do artylerji, uczestniczył w kampanii 1812 r., a po bitwie pod Lipskiem dostał się do niewoli pruskiej. Wypuszczony na wolność w r. 1814, szukał utrzymania, pracując w biurze Kommissji Likwidacyjnej, gdzie piastował skromny bardzo urząd, niezaniebując przytem i ulubionych swoich prac literackich i dalszego obznajmiania się z prozą i poezją narodową.

W r. 1818 ogłosił pierwszą swą większą i poważną pracę literacką rozprawę: „O klasycyzmie i romantyzmie“; ta zaś zyskała mu odrazu takie uznanie, iż rektor konwiktów pijarskiego na Żoliborzu, X. Kamiński, ofiarował mu posadę profesora języka i literatury polskiej przy tymże konwiktach z pensją 3000 złp. rocznie. W pół roku potem został Brodziński współpracownikiem *Pamiętnika Warszawskiego*, w r. 1819 członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w 1822 otrzymał katedrę Literatury Polskiej w uniwersytecie warszawskim, a wreszcie mianowany został wizytatorem szkół.

Ciągła praca nadwładziła jego delikatne zdrowie: musiał przeto w r. 1824 szukać ulgi w cieplejszym klimacie i w tym celu odbył wycieczkę do Włoch i Szwajcaryi. Wrócił do kraju pokrzepiony i w roku 1826 ożenił się z Wiktoryą Holly, córką obywatela ziemskiego.

W domowym poyciu bardzo szczęśliwy, został ojcem jedynej córki. Po zamknięciu uniwersytetu w roku 1831 otrzymał emeryturę, dzięki której miał być niezależny. Odtąd wyłącznie już poświęcał się literaturze; ale nieuleczalna choroba piersiowa przecięła zbyt wczesnie pasmo dni tego tak pracowitego i zasłużonego człowieka, umarł bowiem 10 Października 1835 r. w Dreźnie.

Wiemy o Brodzińskim, że występując na katedrze nie miał błyskotliwej i świetnej wymowy współczesnego mu Ludwika Osińskiego, wymowy ściągającej naówczas tłumy słuchaczy; wykład jego spokojny, jasny nieskażonym dobrych pisarzy językiem, starał się raczej nauczać niż oświecać. W ciągu zaś całej swej działalności nauczycielskiej pracował zawsze w kierunku wprost przeciwnym współczesnemu systematowi wychowania w Niemczech. Tam miano na celu wyłącznie i jedynie tylko *wiedzę* samą, pomijając i na zapomnienie szkodząc wiele innych stron wychowania publicznego; Brodziński natomiast w każdej nieomal lekcji, przy każdej sposobności, stara się oprócz rozszerzania pojęć, rozwinąć jeszcze w słuchaczach te wszystkie szlachetne uczucia serc młodzieńczych, które na moralność przyszłych obywateli wpływać mogły. Zawsze i wszędzie zagrzewa do zamięłowania mowy i dzieł ojczystych, do pracy i nauki i ilekroć da wolny bieg swym myślom obywatelskim, staje się zawsze prawdziwie wymownym.

U Brodzińskiego, który swej własnej pracy winien był powiększającej całe swe wykształcenie, nie należy szukać ścisłego zastosowania pewnej metody pedagogicznej: kieruje się on raczej szczęśliwym zmysłem spostrzegawczym, który mu zawsze wskazuje potrzeby uczącej się młodzieży, i tym zdrowym rozsądkiem obejmującym rzeczy z pewnością siebie i spokojem, który tak ważną dźwignię w działalności dydaktycznej stanowi.

Brodziński dobrze rozumiał trudną sztukę udzielania wiedzy innym: dowodzi tego kierunek prac jego nauczycielskich i usiłowania czynione w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, a wykazujące ko-

nieczną potrzebę wydania podręcznika Historji Literatury Polskiej dla szkół, oraz Dykcyonarzy Pisarzy Polskich. Sam, jako profesor uniwersytetu, zostawił starannie opracowany kurs literatury, który wymaganiom dzisiejszej nauki, wzbogaconej późniejszymi badaniami, i potrzebom teraźniejszym nie odpowiadałby może w zupełności, ale który jeszcze dziś z pożytkiem każdy czytać może; szczególnie trafne w nim znajdują się uwagi nad epoką Stanisławowską i ostatnim jej przełomem. Kurs ten przy wykładzie literatury nigdy pomijanym być nie powinien, gdyż zawiera wiele cennych dla każdego badacza wskazówek, tem cenniejszych, iż są one owocem własnego czytania i własnego wpatrywania się w rzeczy.

Przemawiając do słuchaczy mało a przynajmniej niedostatecznie (jak to było powszechnem na owe czasy) z dziejami obeznanych, nie tylko daje Brodziński we wstępie do każdej epoki rzut oka historyczno-krytyczny na przebieg wypadków dziejowych w Polsce, ale opowiada także pokrótce i współczesne ważniejsze wypadki europejskie; potem zaś dopiero przechodzi do samej literatury: ocenia poetów, historyków, mówców, uczonych i t. d. W ogóle epoki późniejsze, jak: Zygmunowska i Stanisławowska, są naukowo i obszernie traktowane, podczas kiedy czasy początkowe i dalsze epoki Piostowska i Jagiellońska, mniej już naukowo opracowania okazują. Pierwsze początki ruchu umysłowego ogólnikami tylko zbyte, a okoliczność tę wyłomaczyć możemy bez trudu uwagą, że za czasów Brodzińskiego nie poczyniono jeszcze tych badań nad zamierzoną przeszłością naszą, które dzisiejszemu historykowi znacznie już obfitych dają materiały do studyów.

Brodziński opracowywał starannie każdą lekcję. Nie żałując trudu, przeczytał n. p. oszkle dzieła Odymalskiego i Gawłowskiego, aby z retorycznej i napuszonej wiązanki słów wydobyć iskrę poezji i słuchaczom swoim dać dokładną tych dzieł ocenę. Tak więc mówiąc jeden z pierwszych o tych poetach wykazuje ich liczne błędy, ale też nigdzie nie lekceważy stron dobrych i dodatnich. On też pierwszy dał dokładny i krytyczny obraz twórczości Kochanowskiego, porównując go ze współczesnym mu Ronsardem we Francji; on także, dzięki swej niezmordowanej pracowitości, poznawszy gruntownie polskich pisarzy, mówi o nich z całą swobodą. Jaką daje znajomość rzeczy; wykazuje oile zbawionym byłby dla literatury polskiej wpływ klasycyzmu Kochanowskiego, Szymonowicza, Sarbiewskiego, a mając na myśli dokonywający się podówczas przewrót w poezji, mówi o zaletach romantyzmu, o charakterze narodowym i świeżym polocie fantazji, nie ukrywając wszakże i wad dziś nam powszechnie wprawdzie wiadomych, ale podówczas okrytych urokiem nowości; — mówi zaś o tem wszystkim z takim spokojem popierając rzecz przykładami i jasnymi dowodami, iż niewątpliwie słowa jego nie mogły pozostać bez wpływu na słuchaczy, i dziś jeszcze mogą być wzorem sądów bezstronnych i zarazem rozumnych.

Z pedagogicznego znaczenia historii literatury nie zdawano sobie jeszcze podówczas dokładnie sprawy; ale, jak to już wyżej powiedzieliśmy, przeżył niejako Brodziński i nie stwarzając nowej ani oryginalnej metody, ożywił pracę swą obywatelską myślą i dążnością. Znaczenie wychowawcze tego przedmiotu określić-by można poniekąd słowami Bakona, t. j. że nauczyciel nie powinien go traktować jak gorliwie sprzedając swą tkaninę pajak, nie powinien być kompilatorem jak skrzętnie zbierająca grudki ziemi mrówka; ale raczej, podobny pszczołom, która przygotowuje pożywny pokarm, winien w historii literatury, wygłaszanej z katedry uniwersyteckiej, podawać uczniom pewny zasób tylko i takiego materiału, któryby umysł ich w danym przedmiocie do krytycznego myślenia zaprawił, dał im dokładne pojęcie o zasadach i prawidłach estetyki, zapalił ich do dalszych samodzielnych już studyów, rozwinął wreszcie fantazję, wykształcił umysły i serca.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Oburzenie p. Caro; jego zatargi z krytyką literacką. — Kto tu winien? — Jak stoi dziś we Francji krytyka literacka? — Co p. Caro odpowiedział jednemu ze swych słuchaczy? — Nowy przykład braku krytycznej miary. — *La Faustine*, nowa powieść Ed. de Goncourt'a. — Odwrotna strona medalu. — *Książka Konstanty* Lud. Halévy'ego. — Naturalizm i brzydota. — Wartość i znaczenie nowej powieści. — *Historja Filipa II*, przez p. Forneron'a. *Ludwik XV i Elżbieta* p. Vandala. — Skandale brukowe Paryża. — Sprawa Dumasa z akwarellistą p. Jacquet'em. — Obrzydliwa awantura *Figara* z dawniejszym reporterem tego dziennika. — Dokąd idziemy? — Wystąpienie na scenie Teatru Francuzkiego Rossyanki, panny Fejgin.

Paryż, w Marcu 1882 r.

Pomimo złowrogie swoje nazwisko Luty dostarczył nam obfitego żniwa. Mamy całą grubą wiązkę wiadomości: politycznych, literackich i brukowych na wasze usługi. Wiązanka jest nawet tak gruba, że muszę zrobić wybór, bo i miejsca mi zbraknie, aby wszystko pomieścić. A najpierw polityczne wiadomości, które wam przychodzą inną, krótszą i wcześniejszą drogą, wykluczę zupełnie, na ten raz. Niema czego żałować — bo o najciekawszych rzeczach pryncypa radzi zachować milczenie. Zaczniemy więc od literackich wiadomości; miejscowe — a brukowe — skandale, mamy ich obfitość, zostawimy na koniec, niby wieńczącą koronę.

Dawno już mówiłem wam o p. Caro, profesorze filozofii w Sorbonie, z powodu jego kursów, które były tu czas jakiś w wielkiej wziętości i modzie. Następnie wspominałem o nim z powodu komedji Pailleron'a *Świat gdzie się nudzą*. Dziś muszę raz jeszcze wrócić do tej osobistości, która się sama przypominała ogółowi, w sposób niepozwalającym na milczenie.

P. Caro ogłosił niedawno w przeglądzie *Revue des deux Mondes* artykuł, z którego pokazuje się jasno, że można być profesorem filozofii, nie będąc wcale filozofem — w tem znaczeniu, jakie przywiązuje do tego wyrazu powszechność, a raczej *vulgarus*. I rzeczywiście, artykuł ten, zredagowany gładkim i pięknym piórem, pełen jest gorzkiego uczucia, jakby zawodu i niesprawiedliwych zarzutów, przeciw tym, na których utyskuje profesor.

P. Caro wstrzymał w tym roku swoje wykłady w Sorbonie. Myśleliśmy, że powodem ku temu był stan zdrowia, a może nieprzyjemne zetknięcie się z ministrem, przewzanym tu Attylą — p. Berthem. Ale widzimy z owego artykułu „Przeglądu“, że był inny jeszcze osobisty powód, tego usunięcia się z widowni świata, mianowicie: wielkie rozdrażnienie wrażliwego docenta, przeciw tym, którzy śmieli się tknąć jego ważnej osobistości.

Dojęty do żywego tą śmiesznością, jaką go okrył Pailleron, w tak przezroczystym zarysie jego pretensjonalnej nad miarę osobistości, pan Caro, zamiast walczyć przeciw tym Arystofanowskim porywom dramatycznego pisarza, wypowiada wojnę krytyce i mówi, że: — „krytyka w tej chwili znajduje się w stanie takiej mierności, i tak jest pozbawiona wszelkiego wigoru, jak się to nigdy nie zdarzyło we Francji“.

Dlaczego? — Łatwo się domyślić: oto dlatego, że się nikt nie znalazł, co by powiedział, że komedya p. Paillerona jest tylko lichą, nędzną ramotą! A dalej, unikając zawsze wymienienia choćby nazwiska komedji lub dramatycznego utworu, p. Caro ubolewa nad tem, „że dziś powodzenie i wziętość książki, powieści, poematu, literackiego lub filozoficznego dzieła, zyskuje się, jeżeli nie wypadkiem i naoslep, to przynajmniej bez żadnej ważnej przyczyny i bez dostatecznego powodu. Jesteśmy świadkami — powiada — niejednego powodzenia zaimprowizowanego, które jest skutkiem jedynie niezmiernego, gwałtownego zdziwienia, wypadkiem koleżeńskich zabiegów i wskazówką wszechmocnej w czasie naszym masoneryi. Widzimy, jednym skokiem dochodzące do podniebnej, niezmierniej wziętości, utwory bez żadnej zalety i siły“.

Zdałoby się zatem, że niema krytyki, niema

dzis jednego umiejętnego kryterium we Francji. Ale, trochę dalej, znajdujemy następującą uwagę toż p. Caro: — „Są przecież pisarze, których zdanie jest niezależne i wolne: tak, ale te wszystkie objawy współczesnej nam krytyki, wszystkie odbłyski chwilowe i przerywane, rozrzucone i osobiste, nie stanowią bynajmniej jednego ciała. i jednej trybunałskiej powagi. Wyroki jej są bez żadnej siły i sankcyi, z wyjątkiem może kilku czytelników wyborowych: i braknie jej ku temu podstawy, bo tę nadaje tylko wielka publiczność“.

Wszystko tu, jak mówiłem, znamionuje wielkie rozdrażnienie autora, ale nie stanowi wcale, ani dowodu, ani przekonania o prawdzie. I tak, jeżeli rzeczywiście Francji zbywa dziś na krytyce, mogącej wywierać wpływ i na literaturę współczesną, przyczyn tego potrzeba szukać gdzieś indziej a nie w powodach, o których nam prawi filozof. Niema krytyki niezależnej i umiejętnej, to prawda — ale też niema dziś żadnej niezależności osobistej we Francji. Nad wszystkim panuje i przewodzi straszliwy strychulec pięciu frankówki, nieograniczonej żądzy używania. Krytyka idzie śladem odurzonej społeczności — i literatury, która jest jej bezpośrednim wynikiem. Książki zarażają społeczność, a ta nawzajem wydoskonala zarazę i zepsucie wprowadza do książek, wraz ze zwyczajami i obyczajami tej chwili.

Ufundowanie jakiegoś trybunału najwyższego krytyki zbiorowej, tej, jak ją nazywa p. Caro, *La magistrature*, rozumie się w tem chyba znaczeniu, że sam będzie on głównym krytyki dyrektorem; ale takiego trybunału, ani p. C., ani nikt dziś nie przyjmie i nie uzna. Potrzeba więc poprzestać na tem co jest, a jeżeli jest przykład do dania, niech-że go nam pokaże sam autor artykułu. Niema krytyki i być jej nie może dzisiaj, kiedy stosunki literackie, całkowicie się zmieniły. *Interes połączony wydawców*: oto jest najwyższy i jedyny trybunał.

Artykuły krytyczne mogą się ukazywać na świat tylko w dziennikach albo w przeglądach; jedne i drugie są w rękach wydawców: pierwsze są zahaczone pewnym rodzajem umowy i zapłatą artykuły pochlebne lub wrogie, stosownie do okoliczności; drugie, to jest przeglądy, są całkowicie w ręku wydawców, bo ich kosztem żyją. Wyjątki od tej reguły, jeżeli nawet się i znajdują, są właśnie potwierdzeniem samej reguły. Jest więc wolnomularstwo, jest koleżeństwo. Są powodzenia skandaliczne, ale ich podstawą, jest pięciofrankówka, a nie żaden wzgląd wyższy i inteligentny. Taki jest ogół.

To nie przeszkadza wcale, że są pisarze, są charaktery, są indywidualności niezależne od tej kolei omnibusów, i którzy nie schylają głowy bynajmniej pod ten strychulec podłego interessu. Ludzkość zawsze znajdzie na koniec prawdziwą swą drogę, która ją może doprowadzić do wyższych, do piękniejszych celów. P. Caro, którego wykłady obliczone były więcej na wydanie błyszczącego efektu, niż prawdziwej nauki, znajdując dziś na swej drodze, zawody, i niesmak, zbiera plony, które jego własna zasiała ręka. Lekki i źle wychowany, pozwalając sobie, na prywatnych zebraniach i wobec młodych kobiet najpierwszego towarzystwa — dwuznacznych i często nieprzyzwoitych żarcików, sądzony jest stosownie do tych pozorów, a nie do tego, co może być w gruncie jego myśli. Professor, który jednemu z młodzieży światowej odpowiada „na wyznanie, że jest jednym z jego pilnych słuchaczy: — „To chyba, że masz tam „Rendez-vous“, mój chłopce“ — nie może mieć wcale pretensyi, że autor komicznej stara się zabawić publiczność, pokazując te słabe i śmieszne strony wielkiego człowieka — i że zreżymy aktor jego napuszoną i śmieszna postać na deski teatralne ku uciechu wszystkich wyprowadzi.

Po tem wszystkim możemy już powiedzieć, że artykuł grzeszy, najpierw nieumiarkowaniem, potem niechęcią wypowiedzenia rzeczywistej prawdy, której sam autor unika troskliwie, bo wszystko w jego osobie, nauce i życiu oparte jest na przesadzie, poszukiwaniu efektu i zmyśleniu.

Nie potrzebujemy szukać dalekich przykładów na potwierdzenie tego, co się powiedziało wyżej o literackiej krytyce we Francji. Od dwóch czy trzech miesięcy widzieliśmy tu olbrzymie afisze,

napisy na murze, ogłoszenia łokciowe na czwartej karcie dzienników, na sposób zagadkowy, w amerykańskim stylu. Jeden wyraz, jedno imię — *La Faustine*. Fenomen przyszedł na świat w Lutym; była to powieść Edmunda Goncourt'a. Wszystkie dzienniki wybuchnęły radością, wszyscy krytycy ją chwalili. Oto powieść! oto dzieło! a w gruncie jest to książka, której nie można dać w ręce młodym paniom, a nawet i starsze zamężne lepiej zrobić, nie czytając jej wcale. Ale czyż o takie drobnostki, jak moralność powieści, chodzi tutaj komu? Mają oni co innego do roboty. Jaka jest budowa dramatu? Czy to dobrze skłcone? Czy szczegóły choćby najsprośniejszej sceny są wiernie oddane? Czy w tej kobiecie lub w tym mężczyźnie zwierzęce instynkty są wykazane z należyłą ścisłością i prawdą. Oto, co ich zajmuje kiedy się biorą niby do głębszego, krytycznego rozbioru dzieła. O stronie moralnej nikt tu nie myśli, skoro sami pisarze nie szukają jej bynajmniej.

Jak dalece jest to obojętną rzeczą, przytoczę następujący fakt. Jeden z tutejszych konferencyonistów (przepraszam, najmocniej przepraszam, ale ten wyraz *Conférencier*, który krótko i jasno tłumaczy pozwolenie tego człowieka, potrzebowałby popolsku długiego omówienia, gallicyzmuję zatem to miano). Owoż jeden z najbieglejszych i najpoważniejszych tutejszych konferencyonistów, studiując dzieła dramatyczne p. Labiche'a i mówiąc co się godzi, a co się nie godzi, w literaturze, tu i na obczyźnie, widząc siedzącego tuż obok p. Ulbacha, powiada: „Patrzcie p. p. naprzykład na tę różnicę: u nas powieści p. Ulbacha uważają się za extra-moralne; tymczasem w Anglii żadna młoda kobieta do rąk-by ich nie wzięła“ — i publiczność sympatycznym uśmiechem potwierdziła to zdanie, z pewnem politowaniem nad Angielkami.

Otoż nowa powieść Goncourt'a jest tego rodzaju, że u nas w Warszawie, gdyby przypadkiem była napisana oryginalnie popolsku, odpowiedziałoby autorowi, że tu żaden wydawca nie podejmie się drukowania tej książki. I wydawcy mieliby słusność... Powieść ta, jest to historia aktorki i jakiegoś lorda angielskiego, powiadam historia, a prawdziwie są to, jak się domyślicie, awantury. Żeby pozostać w rzeczywistości, autor żadnego nie opuszcza szczegółu, wychodząc z tego założenia, że wszystko co jest naturalne, jest prawdziwe, a zatem obchodzące społeczność i czytelników; tem gorzej dla czytelników, dla których natura ma jeszcze jakieś tajemnice! Przesuwają się tu obrazy, jak w kalejdoskopie: teatr, jego kulisy, próby, życie aktorki, podwieczorki, kolacje etc. Wiele tu wzięto z życia sławnej Rachel, ztąd mnóstwo szczegółów straszliwego realizmu, których nie mam potrzeby powtarzać, a wiadomo dlaczego... Zresztą nie tyle tu chodziło autorowi o zajmującą powieść stosunków milord'a i aktorki, ile o dokładne obrazy zakulisowego żywota francuzkich aktorek. Owoż ta książka jest w ręku wszystkich tutaj, bo, jak powiadają krytycy tutejsi, dziś ukazanie się książki nowej Daudet'a i Goncourt'a jest prawdziwym zjawiskiem literackim!

Jest czasem i strona odwrotna tego medalu. Wyszła w przedruku, umieszczona w *Revue des Deux Mondes*, powieść p. Ludwika Halévy, pod tytułem *L'abbé Constantin*. Młody ten pisarz jest obdarzony niezmiernie głębokim uczuciem analizy moralnej, i bystrem okiem, które wszystko widzi i przestrzega jasno. Są to główne przymioty, jakich wymaga dzisiejszy naturalizm, i p. Halévy jest naturalistą bardzo znakomitym, cośmy już zauważyli w jego humorystycznych szkicach parzykch. Jest on więc naturalistą z tem zastrzeżeniem małym, że bardzo czuły i wykwinny w smaku, woli on opisywać piękny i wonny gwoździk, który się kołysze rozkosznie nad zielonym płotem, niżeli się grzebać w brudnych śmieciach leżących pod płotem. Nie jest to może w modzie i w duchu czasu — mniejsza o to. Wszak wdzięk i powab młodości i piękna, to może najrealniejsza strona życia naszego, w którym, niestety, wszystko — wszystko, prócz jednej młodości, jest zmyśleniem!

Książka Konstanty ma tę wielką zaletę, że w naszych właśnie mętnych czasach, kiedy ludzie trzy-

mający ster rządów myślą, że wyjdą najłatwiej z kłopotów, rzucając na pastwę głupiej gawiedzi księdza, czem ucieczona zapomni o tem, co się dzieje wyżej, — że w tych powiadach czasach, autor miał odwagę pokazać nam księdza i kapłana w pięknym i pocieszającym świetle. Zapomniał autor, i to jest jego największą pochwałą, że według kodexu szynkownianych księgarni powinien był nam pokazać opilego klechę w zalotach do swych owieczek; ale takiego racjonalizmu zrzekł się młody autor i tem większej godzien pochwały.

Powieść ta daje nam poznać księdza, który w ostatniej wojnie 1870—71 r. z krzyżem w ręku towarzyszył na pole bitwy obrońcom ojczyzny, z którymi też poszedł i stary jego przyjaciel doktor Reynaud. Ten ostatni zabity został przy krwawej obronie wioski jakiejs. Doktor został w domu syna, młodego chłopaczka, Janka. Naturalnem następstwem smutnej śmierci doktora była to opieka, którą przyjął na siebie ksiądz Konstanty nad małym Jankiem.

Niestety, nie podobna mi jest wchodzić we wszystkie, tak piękne tak delikatne szczegóły powieści; zmuszony jestem skrócić ją szybko, zatrzymując główniejsze rysy obrazu. Książka wychował Janka, robiąc zeń uczciwego człowieka i dobrego obywatela. Gdy Janek doszedł do lat i gdy zrozumiał, jak to umarł ojciec jego i w jakiej sprawie, postanowił zostać żołnierzem; ksiądz ułatwił mu drogę, i Janek zostaje oficerem artylleryi, a ksiądz opiekun, który go nie opuścił ani na chwilę, który szedł za nim krok w krok w jego żołnierskim zawodzie, — ksiądz i teraz nie opuści swego wychowanka.

Oto na wsi, gdzie konsystuje bateria Janka, przy parafialnym kościele, znajduje się osiadła, zamożna amerykańska rodzina; w tej zaś rodzinie jest młoda panienna Bettina, śliczna, a skromna, a śmiała, jak wszystkie Amerykanki, i jak zwykle Amerykanki, bardzo bogata. Wkrótce młodzi ludzie, to jest Janek i Bettina, poznali się, i, jak to bywa, pokochali. Ale miliony są wielką przeszkodą, bo skromny i prosty Janek sobie tylko i swojej wartości chce zawdzięczać miłość kochanki. Miłość ta, której obraz czysty i jasny, jakby najpiękniejsza sielanka, jest najlepszą częścią tej powieści, taka miłość to bardzo rzadki fenomen w dzisiejszej literaturze francuzkiej.

Jak się należało spodziewać, młodzi kochankowie pobrali się na koniec, spokojnie, poprostu, bez żadnych teatralnych wybrków, za pomocą jedynie prawdziwej i szczerzej miłości, wytrwania i tej logiki wypadków najnaturalniejszych w świecie. Dochodząc do końca, do rozwiązania tak szczęśliwego powieści, czytelnik rad jest, bo widzi, że pokój i szczęście znaleźli jego bohaterowie, których znał i kochał jako ludzi poczciwych, zacnych i wolnych od tych społecznych chorób naszego czasu, które się zowią: wiarołomstwem, zdradą, nieczemnością i t. d. Te proste i piękne zalety, są wierną rękojmnią powodzenia książki, która, malując tak proste, naiwne obrazy, ma zarazem wszystkie zalety książki światowej, bardzo wykwinnej co do formy i czystości języka, i jest prawdziwą, realną niezmiernie, chociaż wygłasza prawdy, które miło jest wypowiedzieć, a jeszcze miłej posłuchać...

(Dokończenie nastąpi).

ECHA Z CZECH.

Teatr i Uniwersytet. — Karnawał tegoroczny. — Niemiecka młodzież. — Odcinek p. Haritesa. — Sprawa czeskich kobiet. — Dziełko Weselego. — Nowa sztuka dramatyczna „Józef Kajetan Tyl”. — Z literatury: „Slovanské čtení”. — O tłumaczach z języka polskiego. — Pan Tadeusz. — „Hrady a zamky”. — Przewodnik po Czechach. — Odezwa o wspieraniu literatury. — Nowe czasopismo. — Odczyt o Polsce.

Jeżeli kiedyś, to w chwili obecnej można rozpocząć korespondencją z Czech wiadomościami, które usuwają stanowczo wszelkiego rodzaju ton smutny, którym tak często musieliśmy rozpoczy-

nych stron polskich. Można się dziś zastanowić nad dwiema rzeczami, które usuwają już zupełnie wszelkie wykrzyki żalonne, a tylko głoszą wewnętrzne zadowolenie i moralne zwycięstwo nasze. Dwa te pocieszające fakty zowią się: Teatr i Uniwersytet!

Co się Teatru tyczy, nie jest już nowością, że straszna klęska w Sierpniu zeszłego roku poniesiona, a która w kilku godzinach zmieniła nasz pyszny teatr narodowy w Pradze w gruzy—została powetowana, bo w przeciągu paru tygodni zebrano na odbudowanie spalonego gmachu prawie milion guldenów, co jest wspaniałym a niewątpliwym dowodem moralnej siły narodu, a zatem i jego istnienia. Jednak nie dosyć, że tear czeski znów powstanie z popiołów, jak Fenix: obok teatru narodowego będą mieli Czesi wkrótce i Uniwersytet Czeski—wszechnicę narodową, która zapewne wielki i głęboki wpływ będzie wywierała na wszelkiego rodzaju rozwój czeskiego życia.

Ma się rozumieć, że sprawa Uniwersytetu Czeskiego rozstrzygnęła się w Wiedniu, w Radzie Państwa, w Izbie, większością głosów, do których należały też głosy posłów galicyjskich, za co się im wielka wdzięczność ze strony Czechów należy. Smutny to doprawdy fakt, że Czesi dopiero teraz mają swój uniwersytet, tembardziej, że go już przed wiekami mieli. Czy nie jest to zarazem rzeczą ciekawą, że do ostatnich czasów posiadały Czerniowce uniwersytet niemiecki, a nasza Praga nie miała czeskiego?

Nie trudno więc pojąć, jaką radością została w całym kraju powitana wiadomość o uniwersytecie czeskim. Do gazet prazkich nadeszły z licznych miast i wiosek naszych telegramy, w których tak mieszczanin, jak wieśniak donosi o radości, jaka kraj przenika. Nie jedno nawet miasto czeskie i nie jedna chata była w skutek sprawy uniwersyteckiej iluminowana. Rozumie się—bo u nas każdy już rozumie, jaki to postęp mieć wszechnicę własną, która przyczynić się może i musi do ogólnego rozwoju czeszczyzny; nie będzie już musiał czeski młodzian poniemiecku studyować, czeski z pochodzenia i przekonania professor poniemiecku wykładać. Nie małego też znaczenia będzie uniwersytet dla rozwoju ojczystej nauki.

Nie też dziwnego, że ostatnie dni karnawału miały u nas podwójnie wesoły charakter. Wskutek pocieszających wielce wiadomości wzrastała ochota do zabawy, nawet w tych, którzy rzadko się bawią. Cały szereg balów z wyłącznie czeskim towarzystwem, przedstawiał miły widok coraz więcej rosnącego żywiołu czeskiego w Pradze. Przed 40 laty urządzono w Pradze pierwsze czeskie bale—jeden zawsze podczas karnawału—dziś ich jest kilka, i co ciekawsze—wielka sala na wyspie Zofijskiej tak bywa napełniona, że już tam tańczyć nie podobna. Dawniej bano się ażeby nie było pustki; dziś nacisk jest nadmierny, szczególnie bale urządzone przez młodzież akademicką, bal „narodnej besedy“ i bal maskowy „Sokoła“, liczą co rok więcej uczestników i już od paru lat mówią: — „Tegoroczny to już udał się najlepiej“. Otóż tegoroczny bal akademików czeskich przez to był ciekawy, ponieważ pomiędzy „przedtanecznikami“ (to jest paniami, które rozpoczynają tańce), znajdowała się hrabina Kounicowa, córka jednego z najzamożniejszych i najwybitniejszych magnatów naszych. Zanotować tu należy, że hrabina Kounic jest ogólnie uważaną za najładniejszą z wielkich pań w Czechach—a ponieważ i ładna i poczesku mówi (a ma się rozumieć, że na balu tylko poczesku mówiła), ogólną sympatią pozyskała. Była ona prawdziwą królową wieczoru. Mówiąc już o karnawale i o paniach rej wiedzących, nie można zapomnieć o miłych sąsiadach naszych: Niemcach w Pradze, którzy także mają swój osobny karnawał. Niemiecka młodzież także urządziła bal, który jako charakterystyczny, zanotować muszę. Otóż jest zwyczajem pomiędzy młodzieżą czeską, że na przodownice tańca zaprasza córki profesorów. Ponieważ też niemiecka młodzież ma profesorów, więc zaprasza i ona — lecz w Pradze pozwala sobie czasami następnych szlacheckich manifestacji balowo-narodowych. Professor niemiecki T., ma córkę, jednak tak rozumną i dobrze wy-

kształconą, że zna i język czeski, a skoro się sposobność zdarza, to chętnie mówi tym językiem. Rzecz naturalna, powiedzą łaskawe czytelniczki, ponieważ to się dzieje na Ziemi Czeskiej, lecz burzniejsze Niemcecy inaczej się zapatrują na to. Dowiedziawszy się, że córka ich profesora śmie mówić poczesku, nie tylko nie zaprosili jej na „przodownicę“ balu, czyli jak Niemcy mówią: na „Vor-tänzerin“, ale donieśli jej, dlaczego nie jest zaproszona:—dlatego, że mówi poczesku. Takie rzeczy nie potrzebują komentarzy.

Zwróćmy się jednak do spraw trwalszego znaczenia, do spraw literackich i literacko-społecznych. Zaprzeczać niemożna, że brakiem w rozwoju społecznym miast naszych jest prawie zupełne nieistnienie życia towarzyskiego, co szczególnie na żywioły obce, nie zupełnie obznajomione z tajnikami miejscowego ruchu wewnętrznego, bardzo ujemny wpływ, co do sądu wydawanego o nas, wywiera. Kto poznał pełne trosk dzieje czeskiego odrodzenia, ten dziwić się nie będzie, jeżeli w społecznym życiu czeskiem znajdują się różne braki takie. Nikt, nawet największy czeski optymist, nie może dotąd powiedzieć, że sprawa czeskiego odrodzenia jest już skończona; przeciwnie, praca ta, pomimo najszcześniejszego w dobrym kierunku postępu, pozostawia jeszcze wiele do spełnienia, i jeszcze dużo czasu upłynie, zanim Czesi będą mogli powiedzieć: — „Teraz możemy spoczywać“. Kwestya życia społecznego (nie towarzyskiego) zaczyna z dniem każdym stawać się w objawach swych poważniejszą. Pocieszającym jest w każdym razie fakt, że zaczynamy się starać o poprawienie złego. Jak prawie we wszystkim, co się w Czechach rozwijać miało, tak i w tej sprawie inicjatywa wychodzi z łona prassy i wogóle z literatury. Że w kwestyi życia towarzyskiego ważne miejsce musi zajmować kobieta, łatwo zrozumieć. Właśnie w tych dniach czytaliśmy tu z wielką przyjemnością odcinek *Narodnich Listów*, podpisany: *etes*, a oznacza to nazwisko jednego z najpopularniejszych i największym talentem obdarzonego z powieściopisarzy czeskich—Heritesa, którego kilku drobniejszych powiastek zostało przetłumaczonych na język polski. Otóż Herites napisał okolicznościowy felieton, w którym z niepospolitym humorem, opisuje przyjacielskie zebranie kilku młodych Czeszek, w jakimś prowincjonalnem miasteczku Czech południowych. Autor opisuje, jak się te „sleczinki“ (panienki) bawią, co myślą, o czem rozmawiają; charakteryzuje w ostrej karykaturze ich pogląd na sprawy narodowe, ich „dobroduszość“ i zakończył felieton następującymi słowami, w których odzywa się do dziewczek czeskich: — „Bierzcie przykład z Polek... dlatego też polecam serdecznie, aby ładne nasze Czeszki jaknajwięcej czytały o siostrach swoich nad Wisłą“.

Lecz nie tylko felieton, ale książki osobne poświęcają pisarze nasi sprawie czeskich kobiet. Z ostatnich w tym zakresie prac jest niedawno wydana książka pod tytułem: *Divka, její vchovani a učení*, przez Józefa Weselego, nauczyciela żeńskiej szkoły w Hakowniku (Praga, 1881, str. 85). Autor w pracy swej wykazuje braki, spotykające się w systemie wychowania czeskich dziewcząt i objaśnia, jaki kierunek powinna przyjąć ważna dla całego narodu sprawa. Chociaż praca p. Weselego nie jest wyczerpującą, uważamy ją przecież za pożyteczny przyczynek do pedagogicznej literatury czeskiej, która odnośnie do wychowania kobiet dosyć jest biedną. Kończąc, zwraca autor uwagę Czeszek na książki, z których-by czeskie dziewczęta czerpały światło. Wspominając *Pamiętkę po dobrej matce*, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, poleca: — „ażeby czeska dziewczyna, każdego dnia po modlitwie, przynajmniej jeden rozdział tej książki przeczytała. Nawiasem nadmieniam, że posiadamy dobry przekład *Pamiętki po dobrej matce*“.

Na scenie naszej mieliśmy w ostatnich czasach kilka nowości, z tych o jednej tylko wspomnę szczególnie. Jest to dramatyczny obraz pod tytułem: *Józef Kajetan Tyl*, napisany przez Ferdynanda Szamberka, dobrego artystę sceny i pisarza już oddawna znanego. Ta ostatnia sztuka Szamberka z niejednego względu jest ciekawą i niedziw, że ciągle napełniała teatr. Raz pierw-

szy oglądaliśmy na scenie jednego ze wskrzesicieli narodowego życia „kawała odrodzenia czeskiego“, jak się tu mówi, kawała, który kuł na kowadło smutnej, choć wzniosłej doli ciężkiego swego żywota. Bohater sztuki należy do tych odrodzicieli narodu, o których z największą słusnością mówimy teraz, że „dawali narodowi swemu dary królewskie, będąc sami żebrakami“. O, prawdą, gorzką to jest prawdą, że Tyl był jak żebrak ubogim i biednym, może najnieszczęśliwszym z tych wszystkich, co ofiarowali swe życie idei czeskiego odrodzenia.

(Dokończenie nastąpi)

KARTKA Z DZIEJÓW XVI WIEKU

Odczyt p. Bernarda Kalickiego.

Autor monografii o smutnej pamięci *Bogusławie Radziwile*, p. Bernard Kalicki ze Lwowa, d. 21 Marca r. b. wstąpił na katedrę w Sali Ratusza Warszawskiego, aby nam w jednym z odczytów na Osady Rolne powiedzieć coś o wieku XVI w Polsce i w Europie całej. Piękny to przedmiot, bo i pięknym był, zarówno w Polsce, jak i w Europie, ów wiek, któremu większość historyków niestarty charakter wieku oświecenia, silnie rozbudzonego życia umysłowego i postępowych dążeń przyznała. Za tem mniemaniem większości pójść musi każdy umysł, który nie mógł bezpośrednio, własną swą siłą dojść do prawdy, własnymi oczyma w oblicze przeszłości zajrzeć, ale, wzięwszy fakta z drugich już rąk, wpatrzwszy się w odmalowane zamarłego życia obrazy, nie zacieśni się w zakłętym kole jednostronnych upodobań, wierzeń i złudzeń, i gdy, przeciwnie, na szerokiej podstawie człowieczeństwa stanie, jedną tylko zasadą za przewodniczkę dla siebie przyjmie: *Nil humani alienum a me esse puto*. *Nil humani!* — nie z tego, co ludzkie, co przez rozum ludzki podjęte i dokonane, co rwącą się w idealny świat poznania i pięknotwórstwa potęgę jego ducha stwierdzające — nie z tego obcem mi być nie powinno: wzniosłe to, prawdziwie ludzkie, hasło. Miłość wiedzy, swobodny pochód rozumu, dążenie do piękna i prawdy, ogląda obyczajów: oto humanizm w najistotniejszej treści swojej; a ten humanizm właśnie główną siłę rozpędową XVI wieku stanowi, nadając mu odrębną, jemu tylko właściwą, charakter.

Wiek XVI zjednywa nas dla siebie, nie przez swoje dzieje polityczne, nie przez instytucje, czyny i zamiary społeczne, nie przez moralny swój poziom, nie przez to, co w zakresie życia rzeczywistego zrobił, ale przez to, czem się w zakresie myśli odznaczył. Nie dał on ludzkości doskonałego dobra i doskonałego porządku, nie uczynił jej raznawsze mądrą, oświeconą, spokojną, nie wynalazł uniwersalnego środka na jej cierpienia i zdróżności; co więcej, sam ulegając jednemu i drugiemu do akt życia dziejowego dodał nowy register własnych swoich błędów i win: ale przytem wszystkim dokonał jednej rzeczy wielkiej, bo żywej i pięknej: wyzwolił myśl ludzką i nowe siły żywotne w łonie ludzkości obudził. Oczymy w nim jego ruchliwość, żywotność, potrzebę prawdy i piękna — jego wolnomyślność; kochamy go zato, iż w dziedzinie ducha średnio-wieczność nazawsze pogrzebał, a wiekom nowym otworzył podwoje; mówimy o nim ze wzruszeniem, bo jest to wiek najwyższego rozkwitu ojczystiny naszej — wiek nadziei, które mogły się spełnić, wiek przesilenia, w którym dobre mogło jeszcze być nad złem zwycięstwo odnieść. Wiek XVI, na obrazie dziejów powszechnych widziany, wywołuje w nas przyjemne, podnoszące wrażenie: dostrzegamy w nim działanie sił nowych, narodziły lepszej przyszłości, trudy i walki, które nie pójdą na marne — początek nowego kształtowania się człowieka zbiorowego.

Wiek ten rusza się, żyje i działa; w krzątającym się mrowisku ludzkim już nie maszyny wi-

dzimy, ale ludzi. W zakresie dążeń duchowych życie wstępuje na miejsce obumarcia lub śmierci, siła na miejsce niedołęztwa, wolność na miejsce okowów — dopóki znowu niepoprawna natura ludzka z wolności samej nie ukuje kajdan. Pierś człowieka się rozszerza, umysły wznoszą się i potężniają. Na ludzi i narody wieje błogosławiona młodość. W powietrzu czuć tętnienie poranne; pierwsze brząski jutrzeńki padają; z ciemnego lochu Wieków Średnich człowiek wyrwa się na wielki, wolny dla wszystkich obszar ducha, pod rozległy wolny dla wszystkich widnokrąg prawdy. Na niebie pali się już zorza purpurowa rozbudzonym umysłem słońce posyła przed sobą na powitanie różowe blaski, złoci obłoki, opromienia wierzchołki i na padoły już nawet przenika. Żaden wiek nie posiada tylu rozumnych i dobrych monarchów, a z ruchem ludowym XVI wieku żaden z dawniejszych, ani francuskie *Jacqueries*, ani *Johnbullady* angielskie w porównanie iść nie mogą. Teraz już wszyscy, i wielcy, i mali, żyć chcą. Czyny i myśli ludzkie inaczej się kształtują, niż w tej ponurej pustyni Wieków Średnich, które człowieka zmonopolizowały na rzecz jednego tylko ideału. W rozumach i sumieniach ludzkich nowa powstaje samowiedza, nowe poznanie i poczucie tego, co godziwe i dobre. Wiek Nocy S-go Bartłomieja, Inkwizycji Hiszpańskiej i 39 artykułów Elżbiety jest przed dniami reakcji wiekiem najwyższej tolerancji, a Polska mu w tem przewodniczy. Jakże daleko poza nim stoi ten wielbiony nasz wiek dzisiejszy, który ludzi i instytucje tłęcze w jednym moździerz!

Wyobraźnia ludzi XVI zamiast zużywać się na scholastyczne obrazy i pojęcia, rozprawiać o płci i naturze aniołów, rwie się do twórczości naukowej, literackiej i artystycznej. Wynalazek Gutenberga słowu słowu ludzkiemu daje skrzydła do lotu po całej ziemi, a jak Kolumb rozsunął był granice ziemskie, tak teraz Kopernik rozszerza granice nieba i słońce dla rozumu ludzkiego zdobywa. Równoległe z temi wielkimi zdobyczami i w zależności od nich myśl ludzka nowe dla siebie obszary pojęciowe, podstawy nowej filozofii i nauki, zyskuje. Sztuki plastyczne sprasają ludzkość całą na biesiadę, i jest to w stosunku do innych objawów ducha chwila najświetniejszego ich rozwoju. Pracowicie, z cześcią synowską dla Grecji i Rzymu, w XIV i XV w. wypielegnowany, humanizm, z filologicznego stawczy się filozoficznym i społecznym, zjawia się teraz w całym swoim blasku; ale obok niego zaraz, obok majestatu mów klasycznych, mowy narodowe ludów, po niedołączonych próbach wieków poprzednich teraz właśnie organizują się jako samodzielne potęgi, zdolne wyrażać myśli, uczucia i marzenia ludzkie, w sposób dzielniejszy, bardziej wpływowy, niż języki umarłe. Intelligencja orzeźwia się i odżywia u źródeł ludowych; powstają pierwsi pisarze istotnie już narodowi. Wprawdzie odrodzenie literackie, aby się stać faktem spełnionym, czekać musi na Romantyzm Nowożytny, jak odrodzenie społeczno-polityczne czekać musiało na Rewolucję Francuską; ale wiek XVI daje do odrodzenia pod obu temi względami pierwszy i nieprzerwany już popęd, a przez *Shakespeare'a* z samym wiekiem XIX w zawody idzie.

Cokolwiek powiedzieć-byśmy mogli o Wiekach Reformacji, czegokolwiek żałować, cokolwiek kochać, co wiek ten odtrącił lub zburzył, jedno zostanie niewzruszonym: stara ludzkość w wieku tym odmłodziła, odrodziła się, na nowe weszła tory. Człowiek XVI w. zaczął odzyskiwać samego siebie. Odtąd uprawa duchowa natury ludzkiej nie potrzebuje się zacieśniać w jednym jakimś wyłącznym stosunku życia, nie znosi na sobie żadnego wyłącznego charakteru, barbarzyńskiego, gallo-romańskiego, kościelnego lub nawet antycznego: chce być ogólnie ludzką, wgląb i wszędy rośnie; staje się zarazem wszechświatową i świec-

ką. W dziedzinie czynów w życiu zewnętrznym zjawia się poraż pierwszy rzeczywista ludzkość; w dziedzinie myśli powstaje rzeczpospolita umysłowa, *respublica litteraria*, bezwiedne stowarzyszenie się do celów wiedzy i pięknotwórstwa, które przez ciągłą wspólność i wymianę umożliwiło wytworzenie się dzisiejszego świata sztuk, nauk i umiejętności.

Tak się nam przedstawia wiek XVI w świetle owej przewodniej myśli, która przenikała wszystkie jego główne prądy i porywy, a tkwiąc w umyśle dzisiejszym, tak jak tkwiła w umysłach dawnych, za łącznik pomiędzy żywymi i umarłymi służy i właściwą drogę dla myśli badawczej wskazuje. P. Bernard Kalicki w odczycie swoim nie wyłuszczył tego, co właśnie treść, istotę wszystkich dążeń wieku XVI stanowi; uważał widać, że na odczycie popularnym dość będzie przypomnieć cechy charakterystyczne, wskazać usposobienie w głównych kierunkach działalności, powiedzieć na jakim stopniu uprawy duchowej i oglady społecznej znajdowała się ludzkość ówczesna. Samą istotę rzeczy, samego ducha wydarzeń i dążeń prelegent w ukryciu zachował, domyslności słuchacza, własnym jego wywodom z danych faktycznych, pozostawił. Otoż te dane właśnie wystarczającymi nie były. Wiadomości znane powszechnie złożyły się na tło, które wzbogacone jeszcze zwięzłym przeglądem ogólnego stanu politycznego Europy w wieku XVI, przy doborze opracowania stylowym i umiejętnym, chwilami nawet porównującym wysłowieniu — miało swoją niewątpliwą wartość, ale nie dało nam tego, czegośmy się spodziewać mogli. Małe uwzględnienie humanizmu, zupełne zamilczenie o reformacji, musiały obraz niepełnym, ułomnym, niedokładnym, a więc i niepodobnym, uczynić.

Właściwym obrazem odmalowanym na tle ogólnej charakterystyki okresu, właściwą treścią wypisaną na „Kartce z dziejów XVI wieku“ — była osobistość Batorego w charakterze swoim, w starciu się ze Zborowszczyzną i w dążeniach i przygotowaniach do walnej wszechnarodowej wyprawy, któraby Turków nazawsze z Europy wyparła. Z zamiarami temi, wielki król d. 12 Grudnia 1586 zamknął oczy na wieki, a myśli wytraconej przez śmierć nikt nie podjął, jak w ogóle nikt do spadku duchowego po Batorym nie stanął i stanąć nie był dość godnym. Przyszli inni ludzie, zmieniły się okoliczności, wystąpiły nowe zadania: i trzeba było dożyć kłeski cecorskiej, mozołnie

pracować na ostateczny wynik Wojny Chocimskiej. — bronić się już, a nie nacierać. Prelegent, kreśląc fakta, nie wydał żadnego sądu o niezbędności projektowanej wojny ze stanowiska interesów polskich. Nam-by się zdawało, że obwarowanie silne granicy południowej od Turków interessa te w zupełności zaspakajało, a uwolnienie Monarchii Habsburskiej od ciągle szarpiącego ją wroga interessom tym tylko sprzeciwiać się mogło. Inne zamysły Batorego miały w sobie więcej wielkości, więcej obiecywały pożytku, niż ta niedoszła wyprawa całego chrześcijaństwa na Turka.

Dziwiliśmy się, że prelegent w jednej godzinie tyle powiedzieć umiał, ileśmy na odczycie usłyszeli, ale właśnie dlatego, że szczegółów było dużo, o każdym z nich powiedzieć było można tylko mało. Skutkiem tego i charakterystyka osobistości Batorego, obraz wewnętrznych zatargów, sejm 1584 r. i złamanie Zborowskich — w najogólniejszych tylko trzymać się musiały zarysach, tak, iż wykład nie dał nam, ani historycznego ciągu faktów, ani historyczno-filozoficznego ich ujęcia. Zamiast charakterystyki XVI w. wolelibyśmy opowiadanie; zamiast tła ogólnego szczegółowy na nim, dokładniejszy obraz; opowieść na podstawie Heidensteina więcej-by nauczyla i zajęła, miałaby więcej historyczności w sobie. Na samym początku odczytu ukazał nam p. Kalicki Filipa II w pewnym korzystnym pojęciu, milcząc zupełnie o ujemnych stronach tej oryginalnej organizacji; wzmianka o Niderlandach raziła pewną niemłą obiektywnością; a prawa artyzmu logicznego domagały się zestawienia Filipa z Batorym, pierwszego z ostatnim punktem odczytu: bez tego zaczęcie od okrutnika madryckiego nie miało dobrego dla siebie powodu. Dlaczegoż ze wszystkich monarchów europejskich XVI wieku o Filipie II najpierwej, najobszerniej, najgłośniej, a zwłaszcza z owym sztucznym przyćmieniem, mówić? Oczekiwaliśmy z ciekawości przedstawienia go Batoremu: Prelegent oczekiwanie to zawiódł.

S. K.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 11-ty arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

Nowe tanie wydanie dzieła p. t.:

HISTORYA OSMNASTEGO I DZIEWIĘTNASTEGO WIEKU do upadku Cesarstwa Francuskiego,

ZE SZCZEGÓLNEM UWZGLĘDNIENIEM DUCHOWEGO ROZWOJU LUDZKOŚCI.

przez

F. K. SCHLOSSERA.

TLÓMACZENIE Z PIĄTEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

Tomów 8, w formacie 8-vo duże

Cena Rs. 8—z przesyłką Rs. 9 kop. 60.

TREŚĆ. Nić tradycji, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Do smutnej, poezja, przez M. I. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. L. Kraszewskiego. — Kilka słów o działalności nauczycielskiej Kazimierza Brodzińskiego. — Nowiny paryżkie. — Echa z Czech, przez Edwarda Jelinka. — Kartka z dziejów XVI wieku, Odczyt p. Bernarda Kalickiego, przez S. K.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Марта 1882 года.